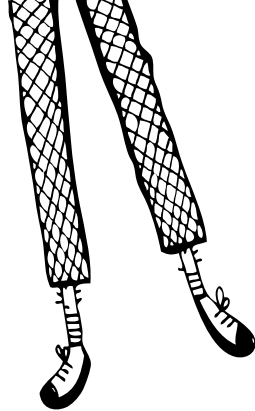


PAWEK  
BERESEWICZ



**TAJEMNICA  
CZŁOWIEKA  
Z BLIZNĄ**



Paweł Beręsewicz  
**Tajemnica człowieka z blizną**

© by Paweł Beręsewicz  
© by Wydawnictwo Literatura

Okladka i ilustracje:  
Olga Reszelska

Korekta:  
Lidia Kabzińska, Joanna Pijewska

Wydanie V

**ISBN 978-83-7672-529-1**

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630 23 81  
[www.wydawnictwoliteratura.pl](http://www.wydawnictwoliteratura.pl)



# PIŁKA NOŻNA

Ależ ja się w te wakacje nagrałem w piłkę nożną! A język mi się od tego wygimnastykował jak nigdy! Dlaczego język a nie nogi? – spytacie. Powtarzam więc: to były wakacje.

Po pierwszym tygodniu lipca wróciłem z obozu i nagle okazało się, że od następnego wyjazdu dzielą mnie potworne ilości wolnego czasu, z którym muszę coś sensownego zrobić. Na komputer miałem wyznaczone ścisłe limity, a ponieważ mama nie pracuje i prawie cały czas jest w domu, nieoficjalne granie było praktycznie niemożliwe. Pozostawało tylko skrzyknięcie ekipy i trzy tygodnie kopania piłki.

Kiedy pierwszego dnia poszedłem na boisko, na samym środku pola karnego siedział jakiś bobas w pampersie i dłubał łopatką w ziemi. Poza bobasem i jego



babcią boisko było zupełnie puste. Rozpocząłem więc obchód osiedla z przyległościami, licząc na to, że uda mi się wywabić z domowego zacisza kilku amatorów ruchu w trzydziestostopniowym upale.

– Oj nie, Paweł do Egiptu pojechał! – dowiedziałem się w jednym miejscu.

– Jarek u babci na wsi siedzi – powiedzieli mi w drugim.

– Na obozie jest – okazało się jeszcze gdzie indziej.

Tam i tak było nieźle, bo w ogóle ktoś otwierał drzwi. Większość mieszkań

zamknięto na głucho i mogłem sobie dzwonić do woli.

W końcu udało mi się wyciągnąć trójkę chłopaków. W normalnych warunkach nadawali by się najwyżej na bramkę, ale jak to się mówi „na bezrybiu i rak ryba” – w wakacje wymagania są mniejsze. Gra dwóch na dwóch w lipcowym skwarze bardzo rzadko bywa naprawdę ciekawa. Snuliśmy się więc w kurzu przez góra dwadzieścia minut, a potem wszyscy waliliśmy się na trawę



za bramką – tę, która akurat była w cieniu. Leżeliśmy sobie pod drzewem, powietrze falowało od upału, koniki polne monotonnie grały na smykach, po błękitnym niebie leniwie pełzły wełniste obłoczki. Cóż można robić w takich chwilach, jak nie po prostu gadać? No, powiedzmy, od czasu do czasu można zrobić małą zrzutkę i losowanie, kto skoczy do sklepu po colę – ale poza tym zostaje tylko gadanie. No to gadaliśmy i gadaliśmy – godzina za godziną, temat za tematem, a zapas spraw jeszcze nieomówionych kurczył się z każdym dniem.

Na pierwszy ogień poszli nauczyciele i dziewczyny. O jednych i drugich naprawdę świetnie się gada

w wakacje. Rozmawianie o szkole jest trochę jak oglądanie horrorów. Stajesz oko w oko z najczarniejszymi charakterami, włos jeży ci się na głowie, krew zastyga w żyłach, czujesz oddech śmierci, a wtedy... tere-fere, wakacje mamy! – i wszyscy nauczyciele z powrotem wędrują do krainy fantazji, którą w lecie zamieszkują razem z wampirami, duchami i potworami.

Dziewczyny z kolei to temat wstydlivy, ale kuszący. Nie można też wykluczyć, że wstydlivy, więc kuszący. Wakacyjna atmosfera i dość przypadkowy dobór rozmówców sprzyjał szczerym wyznaniom. Wszystkie ważne osoby, na których zdaniu normalnie człowiekowi zależy, rozbijały się po różnych Egiptach, Łebach czy na wsiach – w każdym razie na tyle daleko, żeby nie działać zawstydzająco. Ci, którzy zostali, należeli do trzeciego, jeśli nie czwartego garnituru kumpli i było więcej niż prawdopodobne, że po powrocie pierwszego kontakty z zapasowymi garniturami właściwie się urwą.

– A którą dziewczynę najchętniej byście pocałowali? – pytał ktoś na próbę.

– Weź przestań! – mówiło się wtedy i krzywiło ze wstrętem.

– No wiem, ale gdyby trzeba było – uściślał pytający i wtedy zaczynały się zwierzenia.

– No, jakby już tak naprawdę było trzeba – należało się zastrzec – to chyba... nie wiem, Baškę może.



Następowała cisza i moment niepewności, czy ktoś zaraz nie parsknie śmiechem, ale nie – nikt nie zamierzał się śmiać. To był znak, że ta kwestia wszystkim leżała na sercu i wyznania robiły się coraz śmielsze. Gdyby tak naprawdę było trzeba, Baśka zostałaby dokumentnie obcałowana.

Dziewczyny to fajny temat, ale ileż w końcu meczów można na nie poświęcić? Gadało się więc też trochę o grach komputerowych, o najnowszych transferach Realu, o tym, co by się kupiło, gdyby się miało niewyobrażalną kasę, o przyszłości i w ogóle o życiu.

– Jak będę miał kiedyś dzieci, to im będę dawał dwie stowy kieszonkowego tygodniowo – powiedział na przykład któregoś dnia Krzysiek, okularnik z domków, który zdał do piątej klasy.

Sami widzicie, jakie dziwne były te wakacyjne mecze. Nie dość, że rozmawiałem z młodszym dzieciakiem, to jeszcze o czym rozmawialiśmy!

– A ja to moim ani grosza nie dam! – mruknął wtedy Zbychu (ten z kolei starszy – pierwsza gimnazjum).  
– Mnie też starzy ledwo co dają.

– Ale żeby mieć dzieci, to trzeba najpierw... no wiecie, co zrobić – zauważył Marek i zarechotał okropnie z siebie zadowolony.

Chyba wiedzieli, bo zrobili się cali czerwoni i powiedzieli, że Marek jest zboczeńcem i już nigdy nie będą z nim grać w piłkę. Wyglądało na to, że obrazili się na amen, ale przeszło im bardzo szybko i już niedługo znów gadaliśmy sobie w najlepsze. Nawet w pewnym sensie zostaliśmy przy temacie ojcostwa.

– A wiecie, że mój stary to se nową beemkę kupuje? – powiedział Krzysiek, przekrzykując lipcowe świerszcze.

Okazało się, że starzy Zbycha i Marka to też nie byle jacy goście i musiałem na gwałt szukać w moim tacie czegoś, co mogłoby choć częściowo dorównać beemce. Myślałem, myślałem, myślałem, strasznie się napociłem, ale wreszcie znalazłem.

– A wiecie, że mój stary to był w powstaniu? – powiedziałem.





# MAŁY POWSTANIEC

Tak naprawdę, kiedy mój stary był w powstaniu, wcale nie był jeszcze stary. Przeciwnie, był całkiem młody – tak młody, że już młodszym być nie można. Mój stary po prostu się w czasie powstania urodził. Babcia zajmowała wtedy pokój w mieszkaniu jakichś znajomych w trzy-piętrowej kamienicy na Woli. Kiedy pierwszego sierpnia rozpoczęły się walki, myślała głównie o tym, że mój stary powoli zaczyna szykować się do wyjścia, a kiedy na głowę lecą bomby, walą się sufity i pół miasta stoi w płomieniach, to nie jest najlepszy moment na przychodzenie na świat. Ale mój stary był jeszcze wtedy tak młody, że w ogóle nie rozumiał się na tych rzeczach i nie dał sobie nic wytłumaczyć. Odsiedział swoje dziewięć miesięcy w brzuchu u mojej babci i koniecznie chciał już się rodzić.

– Poczekaj może, aż powstanie się skończy – przemawiała do niego babcia, ale on już wtedy był bardzo uparty.



Urodził się drugiego czy trzeciego dnia powstania i zrobił to tak szybko, że lekarz zdążył dopiero na przecinanie pępownicy. Pierwszym dźwiękiem, jaki mój stary usłyszał w życiu, był świst lecących bomb i straszny huk wybuchów. W pokoju na górze nie dało się mieszkać. To było zbyt niebezpieczne – piętro mogło w każdej chwili przestać istnieć. Mieszkańcy kamienicy przenieśli się do piwnic. Mury tam były grubsze i bomby pod ziemią nie latały. Jacyś dobrzy ludzie pomogli babci znieść na dół materac i zawiniątko ze starym. Znaleźli dla nich najlepszą miejscówkę w całej piwnicy. W najdalszym kącie stał przy ścianie pogrążony w półmroku prosty regalik zbity z nieheblowanych desek, na którym w dobrych czasach ustawiano pewnie

słoiczki z powidłami, kiszonymi ogórkami i maślaczkami w occie. Teraz na półkach upchnięte były stopy rozmaitych przedmiotów, które lokatorzy piwnicy poznosili ze swoich mieszkań na górze. Najniższa półka, umocowana dość wysoko nad ziemią, tworzyła jakby daszek częściowo osłaniający od góry ciemny zaciszny zakamarek. Stało w nim kilka worków ziemniaków, które jakiś przezorny szczęściarz zgromadził na czarną godzinę. Po przestawieniu worków pod regałem powstała maleńka komórka, w której jeden z sąsiadów ułożył materac babci. To tam w tej ciemnej piwnicy mój stary spędził pierwszy dzień swojego życia.

Na Woli powstanie nie bardzo się udało. Nieliczne polskie oddziały wypchnięto do innych dzielnic, a na ich miejsce przyszli Niemcy. Rozpełźli się po ulicach i placach. Wlewali się na podwórka, wpadali do domów... Robili straszne rzeczy.

W piwnicy mojego starego ludzie wiedzieli, że przyjdą i do nich. Słyszeli strzały, wrzaski, lamenty... Ale przecież na Woli było tyle podwórek! Tyle piwnic na każdym podwórku! Przecież Niemcy nie musieli przyjść do każdej! Przecież o którejs mogli zapomnieć! Gdyby tylko mój stary tak się nie darł!

– Pani coś zrobi z tym dzieckiem! – syczeli wystraszeni sąsiedzi, więc babcia tuliła starego, kołysała, śpiewała, szeptała, aż trochę się uspokajał.

Przyszli i tak. Na schodach rozległ się tupot nóg i jakaś ciemna, przerażona postać wpadła do piwnicy.

– Idą! – zawołała i przez chwilę zrobiło się strasznie cicho.

– Pani się schowa w tym kącie! – ktoś szepnął babci do ucha i delikatnie popchnął ją w stronę zagraconego regału.

Babcia ułożyła starego na materacu. Jak najbliżej ściany. Jak najdalej od wejścia. Sama skuliła się przy nim, jakby chciała go własnym ciałem odgrodzić od świata. Na chwilę jeszcze odwróciła głowę i na tle bladej poświaty świeczki zobaczyła, jak czyjeś dobre ręce przenoszą w jej stronę worki kartofli. Potem zapadła ciemność. Stary zaniepokojony nagłym brakiem światła zaczął się wiercić i pochlipywać. Babcia wyszukała ustami jego maleńkie uszko i szepnęła błagalnie:

– Ciiiiicho, malutki, cichutko, proszę, to ważne, bądź mądrym chłopcem, cichutko!

Po drugiej stronie kartofli ktoś strasznie głośno krzyczał, ktoś biegał, ktoś płakał, ktoś się szarpał, ktoś strześlił, ktoś upadł. Szeptane prośby babci najwyraźniej pieściły starego w uszko, bo przestał się ruszać i zamruczał jak mały kotek. Babcia, chociaż śmiertelnie przerażona, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Odgłosy z piwnicy ucichły – może wszyscy umilkli, a może nikogo już tam nie było. Przez długie, ciemne minuty zza grubych murów słychać było tylko głuche, odległe pomruki powstania.

I wtedy drgnęła ściana z ziemniaków. Jeden z worków odłączył się od reszty i trochę światła wśliznęło się pod regał. Akurat tyle, żeby babcia dostrzegła niewyraźną kratkę nietynkowanych cegieł, a tuż przed oczami wątle, jasne kłaczki nad uchem starego. Dziurę po worku i sprawcę dziury, i całą piwnicę miała za plecami, ale nie próbowała się odwracać. Nawet nie drgnęła. Wstrzymała oddech i czekała, co będzie. Słyszała ciężkie kroki, ale były coraz cichsze – najwyraźniej się oddalały. Potem zapadła cisza. Babcia leżała jeszcze przez dłuższą chwilę, szepcząc coś staremu do uszka. Dopiero po kilku minutach odważyła się poruszyć. Obróciła się ostrożnie na materacu, wyrzała przez wyrwę w workach i zamarta. Z przeciwnej strony patrzyła na nią czarna lufa i dwoje oczu spod ciemnozielonego niemieckiego hełmu.

– Łaaaaaaa! – zawyło za plecami babci, tak głośno i tak niespodziewanie, że żołnierz nerwowo podniósł wyżej karabin.

